Dr Witold Starnawski
Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego
Warszawa

Pedagogia miłości

Co to właściwie jest „pedagogia miłości"? Pedagogia to pewna świadoma droga wychowania, a więc nie tylko umiejętność, ale również refleksja. Pedagog to ten, kto pokazuje drogę, a więc wychowawca, ale zarazem ktoś świadomy czym ta droga jest, jakie są jej uwarunkowania, na jakich założeniach się opiera. „Pedagogia miłości" w najbardziej narzucającym się znaczeniu oznacza więc „uczenie" miłości, wychowywanie do niej. Jednak nie o takie znaczenie nam chodzi.

Chodzi nam o znaczenie, w którym podmiotem, który „uczy", pokazuje, odsłania nie jest pedagog, lecz sama miłość. To ona ma w pewien sposób odsłaniać siebie samą, pokazywać czym jest. I ten właśnie „sposób", to pedagogia. Tym „co" („kto") mówi jest sama miłość. Pociąga i pokazuje JAK ją osiągnąć, JAK do niej dojść. A odpowiadanie na pytanie JAK człowiek ma stać się lepszy, doskonalszy, to zadanie wychowawcy, pedagoga. On ma pokazać drogę, zachęcić do pokonywania trudności; wybór celu i jego ocena jest rzeczą etyki, filozofii, religii.

Wciąż jednak nie bardzo wiadomo co mamy na myśli mówiąc, że to sama miłość coś ujawnia, pokazuje, zachęca. Czy nie jest to tylko górnolotny sposób mówienia, który niewiele ma wspólnego z rzeczywistością?

Intuicja zawarta w takim sposobie mówienia sprowadza się do faktu, że *zanim* zaczniemy szukać miłości, *zanim* ktoś stanie się dla nas przewodnikiem na tej drodze (pedagogiem) miłość już jest nam w pewien sposób dana. Wyprzedza nasze poszukiwania, rozświetla je i prowadzi: czasem jak blady promyk światła pojawiający się z przodu, czasem z tylu jak niewidoczna dla nas łuna rozświetlająca drogę. Wydaje się, że możemy i chcemy szukać miłości, gdyż ona sama daje się szukać i pozostawia „ślady", które pozwalają nie zagubić drogi. Na uzasadnienie tej tezy można przytoczyć argumenty, wcale nie błahe i – co równie ważne – nie angażujące wyspecjalizowanej wiedzy filozoficznej czy teologicznej, i przynajmniej na poziomie pierwszego zrozumienia dostępne każdemu człowiekowi[1].

Pierwszy ma charakter teoretycznej refleksji i odwołuje się do faktu przygodności ludzkiego istnienia, a równocześnie uznania, że „istnieć" jest czymś dobrym (transcendentalne rozumienie dobra). Każdy człowiek jest stworzony i jako taki jest znakiem „czynu miłości". (...) *w akcie stworzenia, bez pytania, nawet bez możliwości pytania, zostaliśmy niczym strzała skierowani ku celowi* – pisze J. Pieper[2].

Taka interpretacja nie wymaga teologicznych założeń, nie mówi wiele o Stwórcy, ale o samym człowieku bardzo wiele – że w momencie stwarzania był

[1] Są tacy, którzy sądzą, że im bardziej coś przekracza ich zdolności pojmowania, im bardziej jest skomplikowane i trudne do zrozumienia, tym bardziej godne jest uznania; przypomina to jednak postawę wielbiciela mocnych trunków, w którym największy szacunek wzbudza ten, któremu on nie daje rady.
[2] J. Pieper, *O miłości*, tłum. I. Gano, Pax, Warszawa 1983, s. 97.

chciany (*dobrze, żeby istniał*), a ponieważ nadal istnieje, to znaczy, że wciąż jest podtrzymywany w istnieniu, a więc wciąż niejako jest stwarzany i wciąż jest potwierdzany (*dobrze, że jest*)[3]. Także ten, kto narzeka na przydzielony mu los, jest niezadowolony ze swoich zalet i wad, z czasów, w których przyszło mu żyć, z osób, z którymi musi dzielić to bycie w świecie, może buntować się na wiele sposobów, nie zdoła jednak zmienić faktu, że istnieje „będąc podtrzymywany w istnieniu" i jak wszystko, cokolwiek istnieje, jest dobry[4] (oczywiście nie w znaczeniu moralnym). To jest pierwszy ślad uprzedzającej stwórczej Miłości.

Jest również ślad bardziej prozaiczny, do którego nie zawsze chętnie się przyznajemy. Największy nawet filozof czy kontestator musi przyznać, że nie spadł z nieba, lecz przyszedł na świat jako dziecko, a nawet – o zgrozo – jako nieuformowany zarodek i płód, dla którego „całym światem" jest organizm matki; jej życie służy jego życiu. Matka wprowadza dziecko w świat, ochrania je stwarza mu środowisko życia, jak mówi Fromm, daje *mleko*, a co ważniejsze niekiedy także *miód*, a więc przekazuje mu *przeświadczenie, że dobrze jest żyć, dobrze jest być małym chłopcem lub dziewczynką, dobrze jest być na świecie*[5]. Uczy go więc miłości: nie słowami, lecz miłując. W tym miejscu możemy dostrzec pewien rys *strategii miłości* polegający na tym, że *nauka miłości* polega na *czynieniu miłości*.

Ślady miłości rozsiane są w świecie szeroko – dla tego, kto chce je widzieć. Można je dostrzec we wszystkim co dobre lub piękne niejako samo w sobie, to znaczy, kiedy można powiedzieć o jakiejś rzeczy: „dobrze, że jest". Tak można powiedzieć oglądając krajobraz, słuchając odgłosów natury, ale również – jak zauważa Clive Staples Lewis – ciesząc się z istnienia *wspaniałego wina*[6]. Obcowanie z prozaicznymi rzeczami bywa czasem bezinteresowne, i taka postawa *każe się nam cieszyć z nie tkniętych siekierą lasów, których nigdy nie zobaczymy i troszczyć się o to, czy ogród lub pole łubinu będą nadal istniały. Nie tylko lubimy te rzeczy, ale jeszcze stwierdzamy, przywłaszczając sobie na chwilę Boskie prerogatywy, że są „bardzo dobre"*[7].

1. Miłość siebie samego

Warto jednak zwrócić uwagę na najważniejszy ślad miłości przyrodzonej, który dostępny jest każdemu i to aż w nadmiernej obfitości. Jest nim miłość własna. Nikt właściwie nie może narzekać, że ma jej za mało, problemy rodzą się dlatego, że jest jej zbyt wiele, lub raczej, że nie pielęgnowana, nie przystrzygana i pozostawiona sama sobie łatwo wyradza się w egoizm i hołdowanie swoim upodobaniom i zachciankom, kosztem innych. Zbyt łatwo zapomina się, że miłość własna jest człowiekowi *dana* – nie stwarza jej, lecz zastaje. Nie ma chyba nic bardziej „łatwego" dla człowieka jak działanie na rzecz siebie samego, dla swego dobra. A przecież „ten", dla którego się tak staramy wcale nie jest najłatwiejszy w obcowaniu: jest kapryśny, gnuśny, zrzędliwy, ociężały, zmienny w nastrojach albo uparty jak osioł; trudno go zachęcić, jeszcze trudniej wytrwać mu w postanowieniach, zdradza siebie samego, próbuje

[3] Pieper wśród wielu innych przytacza wypowiedź J. P Sartre'a: *Istotą szczęścia miłości jest to, że czujemy się usprawiedliwieni, że istniejemy* oraz L. Grünhuta: *Jako, że Bóg mnie kocha, ponieważ to ja jestem, przeto naprawdę jestem niezastąpiony na świecie*; zob. J. Pieper, *O miłości*, s. 36 i 41.

[4] Osobliwie brzmią niekiedy te „pretensje", kierowane są bowiem często przez ludzi deklarujących się jako niewierzący i właściwie muszą oni jakby „tymczasowo" uwierzyć w istnienie Boga, aby znaleźć adresata swoich pretensji, które mają uzasadniać ich przekonanie, że ktoś taki nie istnieje.

[5] Erich Fromm, *O sztuce miłości*, tłum. A. Bogdański, Rebis, Poznań 2007, s. 58.

[6] Clive Staples Lewis, *Cztery miłości*, tłum. M. Wańkowiczowa, Pax, Warszawa 1962, s. 18.

[7] Tamże, s. 24.

oszukiwać, usprawiedliwia każdą słabość. A jednak mimo tylu wad, które nie zmusiłyby nikogo obcego do zajmowania się nami, my sami nie rezygnujemy, ciągle na nowo wierzymy sobie, mamy nadzieję, że się poprawimy, że przestaniemy zrzędzić i złościć się. Czy ktokolwiek z nas wytrzymałby to, gdyby nie było w nim pomocy z zewnątrz jaką jest przyrodzona miłość własna?

Pedagogia miłości polega więc na tym, że jej najsilniejszy wyraz został w nas umieszczony w sposób trwały. W miłości do innych możemy się zniechęcić – do siebie nigdy. Mamy więc niejako po ręką miarę miłości, nie musimy jej daleko szukać[8]. Nie można oczywiście zapominać, że ta miłości przyrodzona, jeśli nie zostanie ujęta w karby władzy mnie samego stanie się – jak każda siła natury – żywiołem, który mnie porwie i zniewoli. Miłość siebie samego jest w pewnym sensie największym zadaniem jakie człowiek ma do wypełnienia. Można powiedzieć, że taka miłość „powierza nam siebie samych". Kto zatroszczy się o mnie, kto będzie walczył o mnie, o moje dobro i doskonałość, jeśli nie zrobię tego ja sam? Dlatego ta miłość powinna zaczynać się – jak pokazuje Karol Wojtyła w *Miłości i odpowiedzialności* oraz w *Osobie i czynie* – od posiadania siebie, panowania sobie, aby stać się stanowieniem o sobie – a tak przecież Wojtyła określa wolność. W ten sposób dochodzimy do tezy, że miłość siebie jest równocześnie realizacją wolności. Nie można jednak zapomnieć o perspektywie – największym aktem miłości siebie jest ofiarowanie siebie, rezygnacja z siebie.

2. Strategia miłości

To, o czym pisaliśmy wyżej czyni, mam nadzieję, bardziej zrozumiałym przekonanie, że *miłość mówi o sobie*, ujawnia siebie samą. Wskażmy teraz niektóre – nie twierdzę, że najważniejsze – przejawy tej samoujawniającej się strategii miłości.

1). Miłość pociąga wzwyż

Widzi więcej niż można zobaczyć „zwykłym wzrokiem", dostrzega więcej możliwości niż ten, kto jest obojętny lub nieprzychylnie nastawiony, widzi, kogoś lepszym niż jest. To właśnie sprawia, że, jak zauważa Pieper, doznając miłości czujemy się zawstydzeni[9]. Wiemy, że nie jesteśmy tak piękni i dobrzy. Nie jest to tak wielki paradoks, można bowiem powiedzieć, że ten kto patrzy z miłością nie tylko dostrzega jaki ktoś *jest*, ale również kim *powinien być*, „widzi" jak duże są możliwości stojące przed człowiekiem i traktuje je jakby już były jego. Właśnie w ten sposób matka wprowadza dziecko w świat – można by powiedzieć „pociąga je w górę". *Matka uczy swoje dziecko mowy mówiąc do niego, tak jakby rozumiało, na długo przedtem, zanim może ją zrozumieć*[10]. Miłość nieustannie więc zachęca człowieka, aby stał się tym, kim jest naprawdę. Mówi do niego: *nie rezygnuj, możesz, potrafisz, dasz radę, stać cię na więcej*. I każdy pedagog wie, że taka strategia przynosi dobre owoce. Właściwie dopiero na tym etapie wychowanie przemienia się z tresury w wewnętrzną przemianę, której autorem jest sam człowiek – zaczyna on pragnąć doskonalić siebie i zyskuje siły, aby to czynić.

[8] E Fromm przypomina, że egoizm i miłość własna są sobie przeciwne: *Nie ma takiego pojęcia człowieka, które by nie obejmowało również mnie* oraz *nie tylko inni ludzie, lecz i my sami jesteśmy obiektami naszych uczuć i postaw*; *O sztuce miłości*, dz. cyt., s. 66.
[9] Por. J. Pieper, *O miłości*, dz. cyt., s. 43.
[10] C. S. Lewis, *O wierze i moralności chrześcijańskiej*, tłum. M. Ponińska, Pax, Warszawa 1959, s. 234.

2). Zachowuje różnorodność

Miłość jest dążeniem do zjednoczenia. Głosy w tej sprawie filozofów dawnych i współczesnych są podobne[11]. Warto jednak przypomnieć, że nie chodzi tu o jednolitość; filozofia klasyczna wyraźnie podkreśla pluralizm rzeczywistości. Także i w miłości zachowana zostaje różnorodność i odmienność. (...) *miłość jest zjednoczeniem, w którym zachowana zostaje integralność człowieka, jego indywidualność* – stwierdza Fromm[12]. K. Wojtyła wyraźnie podkreśla, że jedność jaka zachodzi w miłości oblubieńczej, najdoskonalszej z postaci miłości nie niszczy odrębności i jest dopiero możliwa na gruncie *ontycznej samotności* podmiotów. I właściwie dopiero nieprzekazywalne i nieodstępne w płaszczyźnie ontycznej „ja" umożliwia ten dar z siebie jakim jest miłość oblubieńcza[13]. Jedność, o którą chodzi w miłości nie jest jednością treści, ale raczej jednością bycia, jednością woli czy ducha, nie stapiającą się w jedną całość. Pedagogia oznacza w tym przypadku dostrzeżenie różnorodności i uznanie jej za coś bardziej wartościowego niż jednolitość. Rozmaitość i wielość rzeczy jest dziełem zamysłu Stwórcy – jak twierdzi Tomasz z Akwinu, gdyż jedno stworzenie nie zdoła wyczerpująco przedstawić Jego dobroci[14]. Warto przy tej okazji przytoczyć uwagę C. S. Lewisa, który, analizując przyjaźń, jak sam stwierdza najszlachetniejszą postać przyrodzonej miłości, zauważa, że musi ona wykluczać[15].

3). Pozory zamienia w rzeczywistość

Niezmiernie interesującym aspektem strategii miłości jest to, co Lewis nazywa „stwarzaniem pozorów"[16]. Uważa on, że są dwa sposoby przybierania pozorów: jeden polega na oszukiwaniu innych, drugi na czymś co można by nazwać oszukiwaniem swoich uczuć – warto przyjąć życzliwą postawę (mimo, że nie odczuwa się życzliwości) i zachowywać się tak jakby się było milszym człowiekiem niż się jest w rzeczywistości. A potem często okazuje się, że człowiek staje się naprawdę życzliwszy Jest to więc gra, która staje się rzeczywistością. *Bardzo często jedynym sposobem zyskania jakiejś zalety jest zachowywać się tak, jakby się ją już miało* - stwierdza Lewis[17].

4). Łączy przeciwieństwa

Miłość przejawia się w również w dziwnej zdolności łączenia przeciwieństw. Potrafi połączyć dystans i zaangażowanie. Dystans wobec siebie ujawniający się w obiektywizmie zdolności patrzenia na siebie jakby z boku, umiejętności samooceny czy autoironii.

Potrafi również łączyć cierpienie z radością. Każdy kto kocha wie, że *kochać to być narażonym na cierpienie*[18]. Ale ta wiedza o konieczności cierpienia nie sprawia przecież, że kochający chce zrezygnować z miłości (już nawet przedstawienie matce propozycji, by zrezygnowała z miłości do dziecka, która ją wiele kosztuje, wydaje się niestosowne). Jednocześnie ci, którzy kochają przyciągają innych do siebie, emanuje z nich radość i pewność okupiona ceną, której postronni zwykle nie znają.

---

[11] Inaczej mówi Emmanuel Lévinas, który uważa, że jednoczenie zacierałoby odrębność Innego (por. np. *Czas i to, co inne*, przeł. Jacek Migasiński, KR, Warszawa 1999).
[12] E. Fromm, *O sztuce miłości*, dz. cyt., s. 32
[13] Por. K. Wojtyła, *Miłość i odpowiedzialność*, TN KUL, Lublin 1982, s. 87-92.
[14] Zob. *Summa teologiczna* I, 47, 1.
[15] Zob. C. S. Lewis, *Cztery miłości,* dz. cyt., s. 78-86.
[16] Zob. *O wierze i moralności chrześcijańskiej*, dz. cyt., s. 225-235.
[17] Tamże, s. 229.
[18] C. S. Lewis, *Cztery miłości,* dz. cyt., s. 139.

Prawdziwa miłość nie może objeść się bez delikatności. Dyskrecja i takt to sposób w jaki przejawia się jej obecność; równocześnie bywa gwałtowna i walcząca, *jak mówią mistycy, miłość Boża jest „tysiąc razy bardziej wymagająca i twarda niż sprawiedliwość"* – powtarza Pieper za Bernanosem[19].

3. Antypedagogia nienawiści

Nie można jednak zapominać, że przyrodzona miłość sama z siebie nie wydoskonali osoby, a bywa, że może doprowadzić do samozniszczenia człowieka. Dotyczy to zwłaszcza tych postaci miłości, które określa się jako Wenus lub Eros. Lewis zwraca uwagę, że tu silniej niż gdzie indziej pojawia się niebezpieczeństwo ubóstwienia miłości przyrodzonej. A to znaczy, że „w imię miłości" można zrobić niemal wszystko. *„Dla miłości nie dbałem o moich rodziców, porzuciłem dzieci, oszukałem wspólnika, opuściłem przyjaciela w potrzebie" – to rozumowanie według prawa miłości wydaje się słuszne* (...) *czyż można złożyć na ołtarzu miłości cenniejszy dar niż własne sumienie?* w ten sposób Lewis[20] odtwarza sposób usprawiedliwiania czynów haniebnych przez człowieka owładniętego taką miłością.

I tak jak istnieje logika miłości, pojawia się również jakaś logika nienawiści. Nie śmiem jej nazwać „pedagogią nienawiści", ale niewątpliwie jest tak, że sama nienawiść „podpowiada" jak podążać jej drogą: rozpoczyna się od – chciałoby się powiedzieć „zwykłej" – niechęci wobec innego człowieka, ta przeradza się w złość, która napędza samą siebie i wyszukuje wszelkie rzeczywiste i urojone powody do złej oceny, czuje swoiste „zadowolenie" w tym, kiedy znajdzie coś złego, co można drugiemu przypisać, a kończy się na utwierdzeniu siebie samego, że ktoś jest zły jako człowiek, sam w sobie, a więc *źle jest, że istnieje*, lepiej, żeby go nie było. Jest to dosyć przerażające stwierdzenie, nawet, jeśli pozostaje tylko w granicach słów, o ileż bardziej, jeśli staje się postawą lub zamienia się w czyn. Z tej perspektywy lepiej można zrozumieć co to znaczy, że czynem miłości na najniższym poziomie, wymaganiem, które winniśmy każdemu człowiekowi jest *pozwolić mu być*[21]. I że ludziom często trudno jest zdobyć się na taki gest minimalnej życzliwości. Może z obawy, że miłość *zechce więcej* i wtrąci nas z błogiego spokoju i stanu samozadowolenia? I uderzy w największych swych wrogów: wygodę i obojętność.

[19] *O miłości*, s. 55.
[20] S. Lewis, *Cztery miłości,* dz. cyt., s. 131.
[21] Zob. J. Pieper, *O miłości*, dz. cyt., s. 30.